



INSATIABLE

CLOVERLEIGH FARMS

TOM 3



Melanie Harlow



Melanie Harlow

INSATIABLE

CLOVERLEIGH FARMS

TOM 3

PRZEŁOŻYŁA

Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Insatiable
Cloverleigh Farms #3

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Agnieszka Nowak
Redakcja: Katarzyna Sarna
Korekta: Kinga Dąbrowicz
Projekt okładki: Wojciech Bryda
Ilustracje na okładce: © ImageDesigner, © marylia17,
© Iryna Davydenko / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

INSATIABLE Copyright © 2019 by Melanie Harlow
Published by arrangement by Bookcase Literary Agency, RF Literary,
and Booklab Agency

Copyright © 2024 for the Polish edition by Papierowe Serca
an imprint of Wydawnictwo Kobiecte Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation
by Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-234-5

Grupa Wydawnictwo Kobiecte | www.WydawnictwoKobiecte.pl





Rozdział pierwszy

Noah

Miała na imię Dottie i zbliżała się do dziewięćdziesiątki. Zaliczała się do kategorii, którą nazywaliśmy w departamencie szeryfa „stałą klientką”. Podjechałem pod jej dom w piątkowy wieczór około siódmej. Na razie na mojej zmianie nic się nie działo, zatrzymaliśmy kilku kierowców za złamanie przepisów i przyjęliśmy kilka niepilnych zgłoszeń, ale w małym miasteczku w rodzaju Hadley Harbor to było normą.

Przypadek Dottie zdecydowanie nie wymagał natychmiastowej reakcji.

Zadzwoiła pod numer alarmowy, ponieważ miała pewność, że ktoś się włamał do jej domu po południu, gdy była na zakupach spożywczych, i mimo że intruz niczego nie ukradł, to poprzesuwał meble w jej salonie. Nawet nie zgasiłem świateł w samochodzie.

– Zaraz wrócę, Renzo. – Zostawiłem na tylnej kanapie explorera swojego wiernego owczarka belgijskiego, który, jak podpowiedział mi wyraz jego pyska, nie był z tego zadowolony, i wysiadłem z auta na chodnik.

Renzo nie odrywał ode mnie wzroku, jak zawsze obserwował mnie przez okno, chociaż w tym wezwaniu nie było niczego niebezpiecznego.

Niemniej dobrze było wiedzieć, że osłania mnie bez względu na wszystko.

Zapukałem do drzwi wejściowych dwupiętrowego, tradycyjnego domu z cegły i niecałe dziesięć sekund później otworzyła mi rozpromieniona Dottie Jensen, świecąc olśniewającą bielą sztucznej szczęki.

– Witam, panie McCormick. Miałam nadzieję, że to będzie pan.

– Dobry wieczór, pani Jensen. Tak, to ja.

Staruszka spojrzała na ulicę, gdzie w aucie siedział mój służbowy pies.

– Nie zabrał pan ze sobą pieska?

Za każdym razem padały te same pytania. Zrobiłem wdech, by nie stracić cierpliwości, i odpowiedziałem. Po raz kolejny.

– Jest zawsze ze mną. Siedzi w samochodzie.

– Nie będzie mu za gorąco?

– Mamy chłodny wieczór, a w radiowozie jest włączona klimatyzacja.

– Nie chciałby wejść do środka?

– Może najpierw wejdę i się rozejrzę, a gdy mi pani opowie, co się stało, i będę miał wszystkie informacje, wypuszczę go, żebyście się mogli przywitać.

– Świetny pomysł – zgodziła się ochoczo. – Proszę wejść.

– Dziękuję.

Moja rozmówczyni otworzyła drzwi szerzej i odsunęła się na bok, żebym mógł wejść do przedpokoju. W domu było cicho i pachniało pastą do mebli zmieszaną z aromatem kolacji.

– Napije się pan czegoś? – spytała. – Może lemoniady? A może zje pan ciasteczko? Albo kolację? Kupiłam dziś piękne kotlety schabowe i właśnie je usmażyłam. Lubi pan do tego prażone jabłka?

– Nie, dziękuję. – Mimo że kiszki grały mi marsza, musiałem się trzymać procedury.

Samotna pani Jensen zatrzymałaby mnie u siebie na wiele godzin, gdybym jej na to pozwolił. Było mi jej żal – mąż, z którym przeżyła ponad sześćdziesiąt lat, zmarł zaledwie kilka miesięcy wcześniej – dlatego zawsze poświęcałem jej kilka minut więcej, jeśli mogłem. Tyle że dzisiaj teoretycznie już od dwudziestu minut nie byłem na służbie i chciałem jechać do domu, żeby obejrzeć mecz World Series.

Zajrzałem do salonu po mojej prawej stronie, a potem przeszedłem do jadalni po lewej. Każde z pomieszczeń wyglądało dokładnie tak samo jak podczas mojej poprzedniej wizyty.

– Podobno jest pani przekonana, że ktoś się włamał?

– Tak. Jestem tego pewna. – Pani Jensen złączyła przed sobą dłonie o powykęcanych palcach i otworzyła oczy tak szeroko, że na jej czole pojawiło się jeszcze więcej zmarszczek.

– Opowie mi pani o tym, co się stało?

Potaknęła i obdarzyła mnie takim uśmiechem, jakbym koronował ją właśnie na królową Anglii.

– Tak. Widzi pan, pojechałam do centrum po zakupy. Chciałam kupić mięso na pieczeń, bo odwiedzi mnie mój syn George z żoną. Sue nigdy się nie nauczyła przyrządzać pieczeni tak, jak jej pokazywałam. No, ale ona robi karierę i chyba nie przejmuje się zanedo tym, co stawia na stół. – Pani Jensen ściszyła głos i przysłoniła usta dłonią, żeby kontynuować konspiracyjnie: – Kiepsko jej też wychodzi prowadzenie domu, prawdę mówiąc,

ale niewiele możemy zmienić w ludziach, których wybiorą nasze dzieci. Ma pan dzieci?

- Nie, proszę pani. - Przygotowałem się mentalnie na nieuchronny ciąg dalszy.

- A dlaczego? Żona nie chce?

- Żony też nie mam, pani Jensen. - Mówiłem jej to już z co najmniej pięćdziesiąt razy, a ona za każdym razem reagowała tak samo.

- Nie ma pan żony? - Wzdrygnęła się. - Przecież zbliża się pan już pewnie do trzydziestki, panie McCormick.

- Mam trzydzieści trzy lata.

- Trzydzieści trzy! Ja z panem Jensenem od dwunastu lat byliśmy małżeństwem, gdy on miał trzydzieści trzy lata. I mieliśmy już czwórkę dzieci. W sumie mieliśmy ich sześcioro.

- Wiem. - Pomyślałem o zimnym piwie czekającym na mnie w lodówce i zwalczyłem pokusę, by zerknąć na zegarek.

- Przeżyliśmy razem sześćdziesiąt siedem lat. Zmarł wiosną. Dziewiątego kwietnia.

To również wiedziałem, bo wtedy zaczęła wydzwaniać do dyspozytora, by składać swoje „pilne zgłoszenia”.

Zdarzało się jej słyszeć hałas - wtedy myślała, że ktoś jest w domu. Czasami ginął jakiś przedmiot, który się znajdował, kiedy funkcjonariusz przyjeżdżał i pomagał jej szukać. Dwukrotnie twierdziła, że się przewróciła i potrzebuje pomocy, ale w obydwu przypadkach otworzyła funkcjonariuszowi drzwi. Za każdym razem robiła, co mogła, by zatrzymać kogoś z nas w domu jak najdłużej, i zawsze proponowała nam jedzenie, opowiadała o swoim życiu, wściubiła nos w nasze prywatne sprawy i nieproszona udzielała nam rad.

Była niemal dziewięćdziesięcioletnim utrapieniem. Choć matka też wypominała mi, że zostanę na zawsze kawalerem – a robiła to często – to i tak przyjeżdżałem tu, by się upewnić, że wszystko jest w porządku, nawet jeśli miało to służyć tylko temu, by kobiecina poczuła się mniej samotna. Należało to do moich obowiązków. Mój tata też by tak robił, a był najukochańszym szeryfem, jakiego miało kiedykolwiek to hrabstwo. Rozumiał, że „służyć i chronić” to coś więcej, niż tylko dokonywać aresztowań i zapobiegać przestępczości.

– Tak, proszę pani. Miałem szczęście spotkać pana Jensena kilka razy. Wszyscy w biurze szeryfa bardzo go lubili.

Uśmiechnęła się radośnie.

– Był taki kochany. I przystojny. Wszystkie dziewczyny zabiegały o jego uwagę. O pańską żadna nie zabiega?

– W tej chwili nie, proszę pani.

– Nie chce pan mieć rodziny?

– Mam rodzinę. Myślę, że zna pani Carol McCormick. Jest pielęgniarką w przychodni Harbor Family.

– Oczywiście. – Pani Jensen potaknęła głową. – Carol jest przeurocza. Znałam też pańskiego ojca. Uwielbialiśmy szeryfa McCormicka. Bardzo się z panem Jensenem zmartwiliśmy, kiedy odszedł.

– Dziękuję. Mam również brata bliźniaka, siostrę i szwagra, dwóch siostrzeńców i siostrzenicę oraz Renza. Otacza mnie spora rodzinka. – Uśmiechnąłem się i spróbowałem zmienić temat. – Czy po powrocie do domu zastała pani drzwi otwarte na oścież? Niezamknięte na zamek?

Przez chwilę moja rozmówczyni wyglądała na skonsternowaną.

– Dlaczego miałabym zostawiać otwarte drzwi? – Wtem sobie przypomniała i strzeliła palcami. – Ach, no tak! Drzwi

były lekko uchylone, ale wiem, że wychodząc, zamknęłam je dokładnie. Mieszkam tu sama i chociaż to jest małe miasteczko, ostrożności nigdy za wiele.

Potaknąłem.

- Ale dom był pusty, gdy pani wróciła?

- Tak. Drań pewnie uciekł, gdy poprzesuwał meble.

- Nic nie zginęło?

- Niczego nie stwierdziłam - odparła niemal z żalem, wykręcając sobie palce. Zerknęła przez ramię w stronę rzeczonego pokoju, jakby stropiona tym, że rodzinne srebro nie zniknęło.

- Mogę się rozejrzeć?

Moja propozycja ją ucieszyła. Poklepała mnie po ramieniu.

- Ależ oczywiście. Śmiało. Proszę się nie spieszyć. A ja w tym czasie przygotuję jakąś przekąskę. Pan Jensen zawsze lubił coś zjeść o tej godzinie.

Zamiast się z nią sprzeczać, zgodziłem się i wszedłem do salonu, podczas gdy ona ruszyła w przeciwnym kierunku do kuchni. Poruszała się powoli, ostrożnie stawiając kroki, jak to drobna staruszka, ale cicho nuciła pod nosem, więc wiedziałem, że dałem jej to, na czym jej zależało - czas i uwagę.

W salonie nic nie wskazywało na to, by przesuвано meble. Na wypadek gdyby pamięć mnie myliła, podniosłem jeden z rogów kanapy. Głębokie wgniecenia w dywanie podpowiedziały mi, że mebel stoi tu od dłuższego czasu. Może i od 1951 roku, kiedy to, jak pani Jensen mówiła mi już kilkakrotnie, młodzi nowożeńcy się tutaj wprowadzili.

To był ładny dom przy cichej ulicy w spokojnym miasteczku, idealne miejsce dla rodziny. Zerknąłem na oprawione w ramki fotografie stojące nad kominkiem, na półkach z książkami i na stolikach przy meblach wypoczynkowych. W tym pokoju

zebrano pamiątki ze stu lat życia tej rodziny. Czarno-białe zdjęcie ślubne z lat dwudziestych XX wieku. I jeszcze jedno z lat pięćdziesiątych. Zdjęcia z chrzcin dzieci. Rodzinne ujęcia przedstawiające pięć pokoleń podczas świąt, ślubów, urodzin i rocznic. Dzieci, wnuczeta i prawnuczeta.

Pomyślałem o domu matki, również pełnym rodzinnych zdjęć. Ku jej wiecznej zgryzocie pochwalić się mogła tylko dwiema fotografiami ślubnymi – własną oraz mojej siostry Niny. Matka miała już troje wnucząt i trzecie w drodze, a to wszystko dzięki uprzejmości Niny i mojego najlepszego przyjaciela Chrisa, który wziął ślub zaraz po naszym pierwszym okresie służby w wojsku. Mimo że podpisaliśmy umowy na jeszcze cztery lata i dwukrotnie wyjeżdżaliśmy na misje, udało mu się zapłodnić Ninę dwa razy w tym czasie, a potem jeszcze kolejne dwa razy.

Nie miałem ochoty myśleć o kwestiach logistycznych z tym związanych, niemniej uwielbiałem być wujkiem ich dzieci – ośmioletniego Harrisona, sześciolatniej Violet i czternastomiesięcznego Ethana. Już wkrótce mieli dodać do tej gromadki czwartego potomka, a matka ciągle mi truła, że powinienem postarać się ich dogonić, jakby to był jakiś reprodukcyjny wyścig.

Ma nawet na półce nad kominkiem pustą przestrzeń, która rzekomo czeka na to, aż się ożenię i będę mieć dzieci, a matka będzie tam mogła ustawiać zdjęcia. Od czasu do czasu, kiedy u niej jestem, znajduje chwilę, by zerknąć w tamtą stronę z tęsknym westchnieniem albo zetrzeć z półki kurz szmatką. W poprzednie Boże Narodzenie dałem jej oprawione w ramkę zdjęcie przedstawiające mnie i Renza i poinformowałem ją, że nic więcej nie dostanie. Obruszyła się, ale zdjęcie stoi dumnie nad kominkiem. Matka ukochała to psisko niemal tak mocno jak ja.

– Juhu! Panie zastępczo szeryfa, pańska przekąska gotowa! – zawołała pani Jensen.

Z ciężkim westchnieniem wróciłem do przedpokoju i przeszedłem przez jadalnię do kuchni. Pani Jensen przygotowała dla mnie talerz, na którym położyła kanapkę, chipsy ziemniaczane i plasterki pikli. Obok stała szklanka mleka. Kobieta odsunęła nawet dla mnie krzesło.

– Kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem, z chleba tostowego. Pan Jensen takie jadał. – Zaśmiała się i pokręciła głową. – Boże uchowaj, jeśli zapomniałam opiec pieczywo!

– Bardzo dziękuję, proszę pani, ale naprawdę nie mogę zostać. Zaraz kończę służbę i muszę wrócić na posterunek, żeby wypełnić papiery, zanim będziemy mogli z Renzem wrócić do domu, gdzie chciałbym obejrzeć mecz, droga pani.

– Och. – Wyglądała na załamana. – Może mógłby pan potem wrócić?

Pokręciłem głową z uśmiechem.

– Obawiam się, że nie.

– To może spakuję panu to jedzenie? Nie ma sensu, żeby się zmarnowało, prawda?

Pomyślałem przez chwilę.

– Raczej nie ma.

– Wspaniale. – Uśmiech wrócił na jej usta. – Niech mi pan da minutkę, spakuję wszystko do torebki i może pan ruszać w drogę.

– Dziękuję. Rozejrzałem się po salonie, ale według mnie wszystko jest tam w porządku. Jeśli jednak stwierdzi pani, że coś zginęło, musi nas pani poinformować.

– Oczywiście – powiedziała, wyjmując papierową torebkę z szuflady. – Zawsze dzwonię do szeryfa w nagłym wypadku.

I nie tylko... Nie potrafiłem jednak złościć się na nią. Wiedziałem, jak to jest tęsknić za kimś. Czasami ma się wszystkiego dość.

Kilka minut później szedłem z torebką z jedzeniem w dłoni, a pani Jensen odprowadzała mnie do samochodu. Wiedziałem przez szybę, że Renzo macha niecierpliwie ogonem. Otworzyłem drzwi i pies wyskoczył na trawnik, podekscytowany i szczęśliwy. Miał obrozę psa służbowego i odznakę szeryfa.

- Siad! - rzuciłem komendę i mnie posłuchał. - Dobry pies.

- Mogę go pogłaskać? - spytała pani Jensen.

- Oczywiście.

Poklepała go kilkakrotnie po łebku.

- Ile ma lat?

- Pięć.

- Duży jest jak na pięciolatka. Waży pewnie ze czterdzieści pięć kilo!

- Jakies trzydzieści sześć, czyli przeciętnie.

- Wydaje się słodki.

- Owszem, potrafi taki być.

Poza służbą Renzo był energicznym, wesołym psem, który chciałby się bez ustanku bawić, ale w pracy był dobrze wytresowaną, bezwzględną machiną - szybki, zwinny, agresywny i w razie konieczności gwałtowny, a wobec mnie bezgranicznie lojalny. Też odnosiłem niekiedy wrażenie, że mam dwa oblicza, więc do siebie pasowaliśmy. Towarzyszył mi od trzech lat.

- Mogę dać mu coś do jedzenia? - spytała pani Jensen. - Nie mam psich przysmaków, ale może ciasteczko? Jest taki grzeczny.

Pokręciłem głową.

- Dziękuję, ale psów pracujących nie należy nagradzać jedzeniem.

- Dlaczego?

- W czasie rewizji często napotykałyśmy jedzenie i nie chcemy, żeby myślał o zjedzeniu tego, co znalazł, zamiast o pracy.

- Och, rozumiem. - Westchnęła rzewnie. - To pewnie powieśmy sobie dobranoc, panie McCormick. Bardzo dziękuję, że pan przyjechał.

- Dobranoc, pani Jensen. Dziękuję za kanapkę. - Uniosłem torebkę, gdy Renzo wskakiwał do samochodu.

- Nie ma za co. Spakowałam tam też smakołyk. Nie jest domowej roboty, ale moje wnuczęta uwielbiały to, kiedy były małe. Teraz, chociaż są już przeważnie dorosłe i nie odwiedzają mnie tak często, nie mogę przestać tego kupować. To głupie, prawda?

- Rozumiem panią.

Nadal w czasie oglądania meczów rozmawiałem z tatą, jakby siedział obok mnie, a nie spoczywał na katolickim cmentarzu nieopodal.

- Jest pan taki uroczy. - Uśmiechnęła się, jakby właśnie doznała olśnienia. - Wie pan co? Mam wnuczkę w prawie pańskim wieku. Idealnie by do pana pasowała. Może bym...

- Do widzenia, pani Jensen - pożegnałem się stanowczo, obszedłem wóz i zająłem miejsce kierowcy.

Nie miałem najmniejszej ochoty paść ofiarą jednej z pretendujących do roli swatki mieszkanek naszego miasteczka. Niemal każda intrygantka w promieniu osiemdziesięciu kilometrów żywiła przekonanie, że zna „idealną dziewczynę”, z którą mógłbym „się ustatkować”. Nie miało znaczenia, ile razy powtarzałem, że nikogo nie szukam. To do nich nie trafiało.

„Nie czuje się pan samotny?” - pytały.

„Ani trochę” - odpowiadałem, co najczęściej zgadzało się z prawdą.

Zdarały się chwile, kiedy brakowało mi damskiego towarzystwa, współczującego uśmiechu na koniec dnia. Gładkiego, seksownego ciała w nocy, kogoś, komu można sprawić przyjemność i z kim można poigrać. Ostatnie zerwanie na dobre mnie wyleczyło z angażowania się w związki, a kilka randek z „idealnymi” dziewczynami wystarczyło, abym się zorientował, jak dobrze ludzie potrafią ukrywać wariactwo. Moje życie seksualne było nieco przygnębiające, ale nikt nigdy nie powiedział: „Hej, Noah, wiem, że w miasteczku pojawi się na jedną noc zupełnie normalna dziewczyna o zabójczym uśmiechu i obłądnym ciele. Może do ciebie wpaść, żeby ci zrobić dobrze?”.

Dopóki taki dzień nie nastąpi, będę musiał znosić posuchę.

Wklepałem do laptopa kilka uwag na temat zgłoszenia i ruszyłem. W drodze na posterunek wyciągnąłem kanapkę i odgryzłem kęs. Wieki nie jadłem kanapki z boczkiem, a ta była cholernie smaczna.

– Nie jest taka zła, co nie? – zwróciłem się do Renza. – Może trochę szurnięta, ale chyba ma do tego prawo.

Zanim zaparkowałem przed biurem szeryfa, zdążyłem zjeść kanapkę, chipsy i pikle. Przypomniało mi się, że pani Jensen wspomniała coś o smakołyku, więc wsunąłem do torebki wolną rękę.

Wyjąłem z niej nadziewane biszkoptowe ciastko Twinkie. Zaśmiałem się.

O kimś mi przypomniało.

Rozdział drugi

Meg

Odkąd pamiętam, ze stresem radziłam sobie, zjadając ciastka Twinkie. I to w niedorzecznych ilościach.

To jest kompletna dziecinada, do tego absurdalnie niezdrowy zwyczaj i pewnie mam tętnice zarośnięte już nieodwracalnie z powodu pysznego złotego biszkoptowego ciacha z puszystym słodkim nadzieniem o smaku śmietankowym, ale nic na to nie poradzę – ten smakołyk ma w sobie coś dodającego otuchy.

Jednak nawet moje ulubione łakocie nie mogły ukoić zdernerwowania, jakie czułam w piątkowy wieczór po powrocie do domu, gdzie zastałam chłopaka, z którym byłam przez trzy lata, pakującego swoje rzeczy.





– Jak to wyjeżdżasz? – Gapiłam się na Brooksa z niedowierzaniem, stojąc w progu sypialni, podczas gdy on metodycznie wkładał do walizki równiutko poskładane, nienagannie białe podkoszulki.

– Przyjąłem pracę w firmie na Manhattanie. Mój pociąg odjeżdża wieczorem.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca